

"Przekrój" kilka tygodni poświęcił kilka stron Matce Teresie. Z tekstu dowiadujemy się, że mogła ona być opętana przez szatana fanatyczką, a ponadto hochsztaplerką. Zdefraudowała miliony dolarów, zaś założony przez nią zakon zamiast karmić biednych, jadł sam, a najedzony - znęcał się nad chorymi. Siostra stosuje podobne metody w swojej pracy?

Oczywiście, wszak wykorzystywanie bogatych to od czasów Janosika jeden z fundamentów działalności charytatywnej. A mówiąc poważnie, te zarzuty to jakaś dziennikarska paranoja. Ta kobieta mieszkała z ludźmi do których zdecydowana większość publiczności brzydziła by się podejść na dwa metry. Czy ktoś kto ma czelność ją teraz oskarżać pomyśli choć przez chwilę, że ona i jej siostry codziennie ryzykowały życie? Kilka lat temu we Francji żona założyciela naszej wspólnoty i jego synowa o mało nie zostały pocięta nożem w paski przez jednego z podopiecznych. Parę miesięcy temu w jednym z naszych warszawskich domów pensjonariusz rzucił się z nożem na nieostrożną wolontariuszkę, tragedii uniknęliśmy w ostatniej chwili. Nasza praca naprawdę nie opiera się wyłącznie na karmieniu głodnych dzieci i tuleniu płaczących niewiast. Siostry Matki Teresy też z pewnością nie raz zostały pobite. Przez pewien czas pracowałam z nimi w Polsce, przecież te kobiety niemal uciekają na widok pieniędzy, nie mają konta bankowego, w domu nie mają nawet lodówki, ubrania piorą ręcznie...

Przecież gdyby kupiły pralkę, miałyby więcej czasu dla biedaków.

Może i tak, ale czy biedacy z Kalkuty mieliby zaufanie do siostr, które stać na to żeby kupować sprzęt AGD? Ja mam i pralkę i lodówkę, ale doskonale te siostry rozumiem. One dobrze rozumieją, że pomoc charytatywna to nie jest biznes jak każdy inny. Bo jeśli by tak było ja powinnam za użebrane na biedaków pieniądze sobie telewizor i karnet do kina, bo przecież jak będę wypoczęta moja pomoc będzie bardziej efektywna. Tyle, że widzi pan - ja nie mam żadnej z tych rzeczy, mam wybite okno, śpię na materacu, a ostatnio i tak budzę się na nim z myślą, czy przypadkiem nie jestem złodziejem? Nie moja wspólnota, w której każdą złotówkę przed wydaniem oglądamy ze wszystkich stron, ale czy ja osobiście na pewno nikogo nie okradłam, nie oszukałam, bo przecież zamiast kartofli mogłam kupić pomidory? W powietrzu od jakichś paru lat wisi dziwna atmosfera podejrzliwości, wszyscy są potencjalnymi złodziejami, agentami. Nawet święci, jak Matka Teresa, jak jej biedacy. A skoro tak - to po co się z nimi dzielić, przecież oni i tak na pewno to wszystko zdefraudują? Skoro wszyscy są źli, nic już nie można zrobić. Widzi pan, jak ślicznie świat pogrąża się w beznadziei, tworzy sobie wytłumaczenia i umywa sobie ręczki?

Siostra wybaczy, ale jak ma ich sobie nie umywać stojąc przed obliczem pana z fioletowym nosem, który prosi o pięć złotych na bułkę a i ja i on wiemy, że pieniądze wyda na wino, "nastuka się", po czym uda się w krzaki i zaśnie. Poczucie beznadziei to w tej sytuacji chyba normalna reakcja?

Ależ ja doskonale znam to uczucie. Przed chwilą dzwoniła do mnie dziewczyna z jednego z naszych domów, gdzie na placu zabaw miał miejsce wypadek. Jedna z matek wsadziła niemowlę na dach plastikowego domku, po czym zajęta papieroskiem i pogaduszkami nie zauważyła że jej dziecko spadło. Przecież szlag może człowieka trafić, na taką nieodpowiedzialność. Ale co ja mogą zrobić? Przecież jak ja tę matkę z dzidziusiem wyrzucę, przejdzie przez dwa kolejne domy i wyląduje pod mostem.

A może to ją czegoś nauczy? Kobieta jest młoda, ma dwie ręce. Siostra daje jej wikt, opierunek, czy pomaganie takim ludziom nie kończy się ich demoralizacją?

Wie pan, jeżeli ktoś przychodzi do mnie schorowany, biedny i głodny to ja mu jednak najpierw dam jeść i zaprowadzę do lekarza, a dopiero później będę robić mu rachunek sumienia, dociekać czy ktoś mu pomógł, czy sam się tak urządził. Proszę zrozumieć, że o biednych nie zawsze da się myśleć w myśl schematu "winien i ma". Jest taka kategoria ludzi,

która nigdy nie podejmie żadnej pracy. Matki z lekkim upośledzeniem umysłowym, ludzie zbyt uzależnieni od alkoholu, zbyt słabi. Zawsze mamy wybór - możemy ich wygnać, oni wtedy pójdą do kanałów ciepłowniczych i tam zginą, albo próbować im pomóc nie oczekując w zamian zbyt wiele. To nie jest demoralizacja, to ratowanie życia. Znacznie trudniej jest z tymi, którzy mają wspomniane przez pana obie ręce. Problem w tym, że to często też są inwalidzi, bo ich nikt nie nauczył że te ręce mogą się do czegoś przydać.

Mam stały kontakt z absolwentami domów dziecka, oni gdy kończą osiemnaście lat i muszą się stamtąd wyprowadzić dostają na drogę wyprawkę - cztery tysiące złotych. To za mało żeby kupić coś sensownego, na przykład mieszkanie, i za dużo żeby to przepić w jeden wieczór. Balanga trwa więc kilka miesięcy. Proszę zrozumieć, ci ludzie nie są źli, ale nie potrafią nic. Pokroić chleba, zasłać łóżka, rozmawiać, nawiązać relacji. Kilka lat temu nasza wspólnota kupiła małe gospodarstwo w Świętokrzyskim, gdzie jest wysoka stopa realnego bezrobocia i najmniejszy odsetek młodzieży uczącej się w szkołach policealnych. Ja mogę tu przyjąć tylko czterech takich chłopaków. Proces przywracania ich do życia, potrwa parę lat. Muszą się nauczyć prac, gotować, skończyć jakąś szkołę (bo tzw. zawodówki to wylęgarnie bezrobotnych, błąd w systemie edukacji). Ostatnio zatrudniłam inżyniera rolnika, bo już nie miałem siły pilnować czy króliki zostały nakarmione i czy kury nie zostały kopnięte tak, że miały połamane nogi bo się chłopczyk zdenerwował... A problem nie dotyczy przecież tylko młodych ludzi z domu dziecka. Dorasta nam przecież pokolenie, które nigdy w życiu nie widziało mamy czy taty idących do pracy. Nasza wspólnota ma dom w Belgii, oglądałam tam rodziny bezrobotnych w których od trzech pokoleń nikt nie pracował, ludzie dostają tysiąc euro zasiłku a więc z domu wychodzą tylko po wódkę lub po narkotyki. Czasem dziękuję Bogu, że u nas nie ma tylu pieniędzy na zasiłki, co tam.

Tym ludziom nie da się już pomóc?

Da się. To gospodarstwo w Świętokrzyskim wymyśliliśmy patrząc na bezdomnych z Warszawy. Na mieście nie znajdują pracy, a w domu - ile razy można takiemu człowiekowi kazać sprzątać jadalnię czy ubikację? A na wsi zawsze jakaś praca się znajdzie. Kupiliśmy więc domek i pięć hektarów ziemi. Wybudowaliśmy kaplicę i zobaczyliśmy że gdy ludzie do kościoła mają parę kroków a nie pięć kilometrów, nagle przypominają sobie że są katolikami. Założyliśmy fundusz stypendialny dla dzieci którym brakuje czasem 50 złotych do tego by mogły się uczyć. Zaczęliśmy zajęcia z wiejskimi maluchami i wtedy zaczęli przychodzić do nas ludzie ze wsi i okolic, ze wzrokiem wbitym w ziemię prosząc nas o pracę. A gdy dowiadywali się że jej nie ma - prosili o jedzenie. To gospodarstwo nie było w stanie wyżywić nawet nas, nie mieliśmy zboża, choć na przykład jabłek było zatrzęsienie. Postanowiłam więc, że będziemy robić z nich marmoladę, którą później będę sprzedawać na głoszonych przez siebie konferencjach. Z czasem znalazł się fantastyczny człowiek, sponsor, który pomógł nam uruchomić małą przetwórnę, gdzie robimy domowe dżemy, ogórki, musztardę - reklamujemy je pod szyldem "Spizarnia Prababuni". Obok przetwórni powstała szwalnia gdzie nasze panie szyją stylową pościel i stolarnia, gdzie panowie ręcznie robią piękne stylowe meble. Zrozumieliśmy podstawowe prawo ekonomii społecznej - biedny jest w stanie zarobić wyłącznie na bogatym, tu nikt nie kupi dżemu za siedem złotych, dbamy więc żeby nasze produkty były naprawdę najwyższej jakości, piękne, luksusowe i sprzedajemy je najbogatszym - mamy stałe kiermasze w Warszawie.

W tej chwili pracuje tu prawie 30 osób - w większości to ludzie stąd, ze wsi. I codziennie odsyłam kogoś z kwitkiem. Nie będę przecież nikogo zatrudniać na czarno. Robota by się nawet znalazła, ale nie stać mnie na to by otwierać kolejne stanowisko pracy w sytuacji gdy firma póki co nie zarabia nawet na pensję, a ja na rękę płacę człowiekowi krajowe minimum, trochę ponad 600 złotych zaś prawie drugie tyle muszę zapłacić jako haracz państwu. To zresztą symptomatyczne, że pomagają nam zwykli ludzie. Setki osób z całej Polski opłacają naszym dzieciom stypendia, gdy otwieraliśmy przetwórnę pani profesor z SGGW przekazała nam know how i przeprowadziła przez procedury, a dziś ludzie jeżdżą przez pół miasta żeby kupić nasze dżemy. Ale państwo jest kompletnie ślepe na zyski które płyną z ekonomii społecznej. Bo państwu łatwiej jest wypłacić zasiłek chłopakowi, który stałby pod budką z

piwem, a u nas ma robotę i za dwa lata pojedzie do Ostrowca i tam będzie już miał w ręku papier że coś umie, że się na czymś zna. Proszę spojrzeć, politycy mówią tyle o wspieraniu rodziny - czy oni nie widzą, że tu na wsi ludzie nie myślą o żeniactwie nie dlatego że są zgniłymi liberałami, tylko dlatego że nie będą mieli z żoną i dziećmi gdzie mieszkać?! Przecież nie są głupi, wiedzą że nikt im nie da kredytu! Społeczeństwo myśli, że biedak to jest po prostu ktoś, kto nie ma pieniędzy. A to jest chłopak, kto się boi umówić z dziewczyną, żeby nie zostać wyśmianym. To matka, która wstydzi się iść na wywiadówkę, dziecko, które boi się rozebrać na wuefie, bo ma połataną spodenki i buty, kobieta która dopiero gdy dostała u nas swoją pierwszą w życiu pensję odważyła się pójść do kościoła, bo wreszcie miała w czym iść.

Akurat kościół powinien być chyba miejscem, gdzie biedacy będą się czuli u siebie.

Sprawa jest prosta - jeśli ktoś chce spotkać Jezusa może go znaleźć pod trzema adresami, to Kościół, Msza Święta i ubodzy. Kościół to stół z trzema nogami, jeśli jednej zabraknie to konstrukcja się wali. Nie mają racji ci, którzy z Kościoła na siłę starają się zrobić wyłącznie organizację charytatywną, ale my też powinniśmy przypomnieć sobie jakie są właściwe proporcje. To pięknie, że kolejna państwowa uroczystość będzie okraszona mszą świętą, a my dumnie wypniemy na niej pierś, pytanie tylko czy wcześniej zrobiliśmy wszystko by nieporadny syn sąsiadów dostał w końcu w szkole piątkę, stał się lepszym człowiekiem? Czy umiemy toczyć gorące debaty wyłącznie o pewnym radiu, czy może zastanawiamy się też nad chrześcijańską wizją człowieka, nad tym jak wychować ludzi, by z każdym problemem nie szli do Caritasu, ale nie bali się zwrócić z nim do sąsiada. A może ograniczamy się tylko do rozdawania zup? Proszę mnie źle nie zrozumieć, to cudownie że w wielu parafiach działają koła charytatywne. Ale w bardzo wielu nie działają. To pięknie, że pracują w nich z oddaniem starsze osoby, ale ja pytam gdzie jest młodzież?

Jak to gdzie? W Anglii.

No właśnie. A co zrobiliśmy żeby ich zatrzymać? W Warszawie przy kościołach krąży być może całe mnóstwo młodych ludzi. Zapraszam w Świętokrzyskie. Księża z naszych wiosek często zupełnie nie mają pomysłu, co zrobić z młodzieżą. Państwo też chyba nie ma takiego pomysłu, gdzieś wyczytałam że rząd cieszy się że młodzi ludzie wyjeżdżają, bo poznają świat a w kraju spadnie bezrobocie. Przecież żeby głosić takie rzeczy, trzeba upaść na głowę. Społeczeństwo to system naczyń połączonych, nie można z żywego organizmu amputować sporej jego części i powiedzieć, że nic się nie stało. Ludzie, którzy rozumieli, że silniejsi są w grupie od tego by pomagać słabszym - wymierają, a ci którzy mogliby pomóc słabszym wyjeżdżają i siedzą w Madrycie czy Londynie. Kto przejmie na siebie ten "obowiązek solidarności"?

Państwo? Samorządy?

Pan żartuje? To cudownie, jeśli znajdzie się sensowny burmistrz, który po preferencyjnej stawce wynajmie nam lokal na kiermasz. Ale zwykle niestety jest inaczej. W Warszawie mamy trzy domy dla bezdomnych, w jednym z nich zimą przebywa do 120 chorych. Cieknie mi dach, kuchnia wymaga remontu, a ja muszę z uzebranych na biedaków pieniędzy co miesiąc odprowadzać do kasy miasta 3 tysiące złotych podatku od nieruchomości. Gdy próbowałam protestować zasugerowano mi, że sama wiedziałam w co się pakuję, a jeśli nie chcę się w to bawić, zawsze mogę tych biedaków upchnąć pod łóżka w innych miejskich schroniskach. Co ja mam zrobić, gdy słyszę coś takiego? Wziąć tych biedaków i pójść z nimi pod Sejm?

Ale być może państwo zdaje sobie sprawę, że pomoc biednym to morze bez dna.

Świetnie, ale co z tego? I czy za bierność nie zapłaci się przypadkiem jeszcze wyższej ceny? Prorok Jeremiasz przestrzegał "że podepczą was stopy biednych i nogi ubogich". W skali globalnej to już się sprawdza - choćby w postaci terroryzmu. U nas - wybuchnie za chwilę gdy do głosu dojdzie wspomniane już przez nas pierwsze pokolenie dzieci, które nigdy nie widziały swoich rodziców w pracy. Nie tylko w Warszawie, ale nawet w pobliskim Ostrowcu mamy już całe "ulice nędzy", tylko patrzeć jak zmienia się one w dzielnice. Tu nie pomoże rewitalizacja architektury, jeśli nie zadba się też o ludzi którzy w tych pięknych domach mają mieszkać. I nie ma się co wściekać na biedaków. To jasne, że biedak będzie zawsze krzyczał o pieniądze, podobnie jak chory zawsze ma prawo krzyżeć że chce lekarstwo na ból. Tyle, że tu trzeba mądrego lekarza, który zwoła konsylium i ustali jaki lek zadziała najlepiej. W Polsce dyskutuje się o wszystkim, o agentach, o sportowcach, o kocie premiera. A czy w ciągu ostatnich paru lat widział pan jakąś sensowną narodową debatę o tematyce społecznej, o rzeczywistych problemach tak zwanych normalnych ludzi? Jeszcze kilka lat temu politycy próbowali nas pytać czego potrzebujemy, był jakiś dialog. Jechałam do urzędu gminy i rozmawiałam z człowiekiem o tym co słyhać i o pogodzie, a dziś ten sam człowiek patrzy na mnie przerażony i odpowiada coś półgębkiem. Nad naszym społeczeństwem wisi jakaś ciężka chmura. Proszę mi wierzyć, ja nie jestem naiwna, doskonale wiem, że politycy i wielcy ludzie biznesu najintensywniej sypią groszem przed wyborami, albo wtedy gdy im się to opłaca. Widziałam plastikowe namioty przypominające nasze tunele ogrodnicze rozdawane tysiącom uchodźców w rozpalonej do 50 stopni Celsjusza Rwandzie. Albo nowiutkie ciężarówky Volvo, wysyłane hurtowo w miejsca, gdzie nie było dróg. Nie mam złudzeń co do wielkich tego świata. Ale coś niedobrego, smutnego, ciężkiego dzieje się też z nami wszystkimi. Nie ma pogody dla biedaków, ale w ogóle tej dobrej pogody jakoś ostatnio w nas coraz mniej.

Może ludzie jednak nie są dobrzy?

A skąd! Ludzie na pewno są dobrzy. Tyle, że czasem robią sobie przerwy.

Siostra Małgorzata Chmielewska, z wykształcenia - biolog, od kilkunastu lat przełożona Wspólnoty "Chleb Życia" w Polsce. Wspólnota i powołana przez nią fundacja prowadzi domy dla ubogich i bezdomnych oraz gospodarstwo rolne i manufakturę w Świętokrzyskim. Siostra Chmielewska adoptowała trójkę dzieci, jeden z jej przybranych synów, 20 - letni Artur cierpiący na autyzm i padaczkę, właśnie się usamodzielniał. W wywiadzie - rzece udzielonym Michałowi Okońskiemu ("Wszystko, co uczyniliście", Wydawnictwo Znak) mówiła o życiu w swojej Wspólnocie: "Wszystko to polega na czystości kontaktów między nami, na tym że nikt nie chce nikogo sobie podporządkować, zniewolić. Modlitwa, adoracja nieustannie nas oczyszcza. Wbrew pozorom, oprócz przekleństw bardzo dużo innych rzeczy bierzemy też od naszych mieszkańców. A przede wszystkim: każdy zostawia sobie małego świrka i go hoduje. Jest ekologicznie"

Produkty ze Spizarni Prababuni (m.in. "Ogórki wujaszka" czy "Cudo z jabłek"), oraz meble i pościel produkowane w świętokrzyskiej manufakturze można kupić w sklepiku w Warszawie przy Nowogrodzkiej 8, róg Kruczej. Na stronie www.chlebzycia.win.pl można ufundować stypendium, które pozwoli ubogiemu dziecku kontynuować naukę w szkole.